

## KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

Ś. p. Sainte Beuve. — Obecny stan Irlandyi: „Rzeczywistości z życia Irlandzkiego” (Realities of Irish Life) przez pana Stenart Trench. — (Londyn i Paryż 1869). — Wiadomości literackie.

**N**owa żałoba literacka we Francyi: pan Sainte Beuve zmarł 13 października w sześćdziesiątym piątym roku życia.

Sainte Beuve był jednym z ostatnich reprezentantów epoki; wchodził on do składowej wielkiej całości, złożonej z mężów stanu, mówców, poetów, artystów, którzy razem pojawiali się we Francyi po upadku pierwszego cesarstwa. Sainte-Beuve ma widoczne miejsce w tej falandze: był on największym z nowoczesnych krytyków Francyi, jak Berryer był jej najpierwszym mówcą, Lamartin i Hugo jej największymi poetami, Ingres i Delacroix jej największymi malarzami. To też znikając dzisiaj, unosi z sobą resztę tej pamiętnej ery, podkreśla czarną kresą koniec czasu przeszłego.

Żal tém większy, że to nietylko chór nieśmiertelnych artystów schodzi ze sceny, ale sposób pojmowania rzeczy, widzenia ich i czucia: to całe jedno piśmiennictwo przemija.

Sainte-Beuve, był jednym z ostatnich literatów w dawném znaczeniu tego słowa. Już nie ma pisarzy zajmujących się *wyłącznie* rzeczami umysłowemi, wypowiadających je z nauką i wdziękiem. Chcielibyśmy się mylić, ale nam się zdaje, że w przyszłości pióro będzie służyło mianowicie dwom klasom ludzi: spekulantom i bawicielom: po jednej stronie liczby, po drugiej kasty.

Sainte-Beuve, zaczął swój zawód literacki od rymotworstwa. Chciał on wprowadzić do Francyi nowy rodzaj poezyi. Zasmakowawszy w poetach angielskich opisowych i poufnych, jak Cowper Coleridge, Wordsworth, chciał skłonić Francuzów do szukania poezyi prostej wszechrzeczy, która zewsząd wychodzi, byleśmy mieli oczy do jej widzenia, a duszę do jej pocucia. Sainte-Beuve

chciał znaleźć środek pomiędzy podniebnym a poziomym lotem poezyi. Było to piękne pragnienie, sprawiedliwe poczucie. Ale poznać a wyrazić, to dwoje. Sainte-Beuve nie był poetą. W jego wierszach nie ma śpiewności, harmonii, nie ma ani wymowy ani zapachu. Czuł to sam, i ocałił swoje poezye temi słowy: „Byłem dość blisko szczytu, alem go nie przeszedł. A we Francyi przejść go trzeba.”

Sainte-Beuve był całe życie dziennikarzem, niczem innem. Wszystkie prawie jego dzieła są zbiorem artykułów. Był to jego naturalny sposób pracowania. Potrzebował tego bodźca, którym jest natychmiastowe drukowanie. Dlatego też nie znaleziono w jego tece nie rozpoczętego, naszkicowanego, jak to zwykle u autorów bywa. Każdy jego utwór nie przechodząc nawet przez szufladę, z biórka szedł do drukarni. I tak było przez lat czterdzieści bez przerwy, bo Sainte-Beuve od początku przystał do drugiego cesarstwa, co mu dąsający się i emigrujący koledzy literaci, gorzko wyrzucali.

Zamach stanu nie otrzymał świetniejszej adhezji literackiej jak przystąpienie Sainte-Beuve'a. Położono mu to na karb sceptycyzmu i nieufności, która tak łatwo wchodzi w serce tych, którzy przebyli kilka rewolucyi. Ale nie ten był rzeczywisty powód jego czaryzmu. Liberalizm jest jednym z dwojga: albo rodzajem wiary religijnej, tём silniejszej ze młoda, jest potrzebą czynu; albo też skutkiem wiary wyrozumowanej, zaufania w najwyższą moc idei, jest przekonaniem że prawda będąc ostatecznie zgodną z naturą rzeczy, do tryumfu potrzebuje jedynie światła i równości broni.

Sainte-Beuve nie podzielał ani ślepej wiary liberalisty z temperamentu, ani wiary wyrozumowanej liberała-filozofa. Nad miłością wolności, górowała w nim *ludzkość*. Czuł on głęboko cierpienia tłumu, złagodzenie tych cierpień uważał za pierwszy obowiązek, pierwszy interes społeczeństw. Pod wpływem tych wyobrażeń, przystawał na wszelkie inne warunki. Wiedząc o tём, łatwo zrozumieć że jego umysł niepodległy, mógł przyjąć wyobrazenie władzy silnej, nawet dobroczynnej dyktatury, która czerpiąc swe prawa w samej tylko wielkości swego zadania, powiodłaby świat ku tym nowym przeznaczeniom społecznym.

Napaść liberałów francuzkich na Sainte-Beuve'a, pochodziła z nieporozumienia. Chociaż popierał rząd cesarski, w gruncie był on człowiekiem co się zowie liberalnym.

Alę jego rola polityczna małą jest rzeczą w jego biografii: przejście do nieśmiertelności jako krytyk literacki. W tём jego oryginalność i jego niezaprzeczone pierwszeństwo. Jakże daleko przeniósł on Francją od owych czczych rozpraw teoretycznych, lub jałowych dyssertacyi o zasługach i wadach pisarzy. Nie wiem czy jaki nowy rodzaj krytyki zastąpi krytykę Sainte-Beuve'a, ale teraz nie można sobie wystawić sądu dzieł umysłowych pod inną formą jak tą, której wzór zostawił.



Powołanie jego wcześniej się objawiło. Jednocześnie pisał krytyki i wiersze. W 1829 w *Revue de Paris* rozpoczął ogłaszać *Portrety literackie*, które później wydawał w *Revue des Deux Mondes*, a które pierwszą jego maniërę stanowią. Ale nie uprzedzajmy wątku.

Sainte-Beuve miał najpierw być lekarzem. W 1826, mając lat 22, mieszkał z matką i chodził na medycynę. Pracował tak gorliwie, że przez cały jeden kwartał nikt prócz niego nie postał w jego pokoju. Matka wielce dbała o tę naukę medycyny, jako o rzecz pewną i stałą. On, pół duszy tylko w nią wkładał. Wykład nie zaspakajał go wcale; nie mogąc w medycynie znaleźć pochodni do rozświecenia światła i życia, zaczął pisać wiersze.

Ochoty do pisanja wierszy nabrał w Anglii, kiedy się kąpał w Tamizie. Rodzaj poetów angielskich, postanowił koniecznie wprowadzić do Francji. Jednocześnie pisał artykuły krytyczne do *Głobu*. Nakoniec, zawezwano go do konkursu utworzonego dla literatury poetycznej XVI wieku.

Zyskawszy pierwszy numer na tym konkursie, Sainte-Beuve poznał się z Wiktorem Hugo. Wyszedł był właśnie drugi tom *Od i Ballad* (1826), Sainte-Beuve miał z nich zdawać sprawę. Oczywiście, chciał pierwój poznać autora, i poszedł go odwiedzić. Zaprzyjaźnili się od razu. Zażyłość z Hugonem, wywarła wielki wpływ na pierwszą część życia Sainte-Beuvea. Młody, gorący, żył wtedy cały dla poezji, przyjaźni, dla rodzącego się romanizmu. Czas od 1827 do 1830 roku, był dlań jednem pasmem zachwytu, którego ślad pozostał w przedmowie do „*Consolations*”. Stosunek Sainte-Beuvea z Hugonem, był podobny do stosunku ucznia z mistrzem w epoce odrodzenia. Uczeń czuł potrzebę pokory, wszystko odnosił do arey kapłana swej wiary. Później wyleczony z tego ferworu jak wielu innych, Sainte-Beuve miał sobie za złe, iż tak dalece mógł przestać być sobą.

Od 1830 roku, przyjaźń jego z Hugonem oziębła. Przyczyniła się do tego polityka. Inne uczucia opanowały Sainte-Beuvea i rzuciły go w przesilenie, w którym z rozpaczą próbował wszystkiego. Wszystkie pojęcia chwycił, zwracał się do nowych proroków, uczęszczał do Lamennaigo, Lacordaira i t. d. Z tego przesilenia wyszła „*Voluptés*” zbiór portretów z natury malowanych.

Tak więc od 1826 do 1830, dewocya dla romantyzmu w osobie jego wielkiego kapłana: od 1830 do 1836, ustęp namiętności i gorączki; razem okres lat dziesięciu, do których Sainte-Beuve często czynił alluzye i mówił, że wolę własną zatracił skutkiem *oczarowania*.

Mile to zatracenie! Ale niestety, czas taki, czas miłości, trwa najkrócej. Sainte-Beuve pojechał do Lausanny: był to koniec poetycznego rozdziału jego życia. Tam zaczął pisać *Historyę Port-Royal'a*, który stanowi początek nowój jego czynności literackiej.

„*Histoire de Port-Royal*” znaczy ważną chwilę w życiu akademickiego krytyka. Obrany przedmiot pierwszy raz go rzucił w studia historyczne, pozytywne. Nauczył się cierpliwości i ścisłości. Na każdym kroku znajdował trudności i nie unikał żadnej. W tym monastycznym przedmiocie, wyrobił cały swój umysł. Zarazem wydawał *Portrety społecznych*, które były jego chwałą, dopóki jej „*Poniedziałki*” nie rozprzestrzeniły.

„*Poniedziałki*” są nadzwyczajnem dziełem w piśmiennictwie francuzkiem. Dziwią zarówno rozległością jak różnaitością przedmiotów, ogromem pracy i talentu. Wszystko objęte w tych literackich sprawozdaniach: dawni i nowi, najpoważniejsi i najlżejsi, cudzoziemcy i Francuzi, poezya i proza, krasomówstwo i historia. Do tego, mnóstwo poszukiwań oryginalnych, pamiętników złożonych z dokumentów, ciekawe kopaliska w nietykany gruncie. Nadto, dokładność cyrklowa! Sainte-Beuve przywiązywał wagę prawie chorobliwą do pisowni imienia własnego, do objaśnien i daty. Ochoiał wszystko widzieć na własne oczy, wszystko sprawdzić.

Od chwili rozpoczęcia „*Poniedziałki*” górowały nad jego życiem. Nadobne te artykuły, których dostarczał dziennikom, wyszły wszystkie z celi Benedyktyna, bo tylko z pracą owych zakonników można porównać pracę Sainte-Beuve.

Żadnej nie używał rozrywki. Drzwi jego były zamknięte zawsze, wyjąwszy w poniedziałek, dzień publikacyi, który dla autora był dniem odpoczynku. Książki potrzebne, gromadzili mu przyjaciele w bibliotekach publicznych. Odczytawszy i zaznaczywszy co wybrał, robił pierwszy rys swojego artykułu: *budował* go, jak się wyrażał. Potem go redagował, dyktując swojemu sekretarzowi. Czasami sam brał pióro, kreślił, dopisywał, zmieniał. Wszystkie skrupuły uczonego i artysty, czuwały w tej pracy, aż do ostatniej chwili. W piątek artykuł był gotowy. Sainte-Beuve oddychał swobodnie. Szedł czytać swoją pracę położonym pisma, w którym miała być umieszczona. Potem jadł z nimi obiad. Dzieło nie było jednak skończone. Po redakcyi, przychodziła korekta, a nieraz trzech potrzeba było, dla zadośćuczynienia wymagalności autora.

Na korektach przechodziła sobota i niedziela. Wtedy drugi tydzień już stał przed nim... i trzeba było nowy artykuł szkicować. Tyle to kosztują rzeczy doskonałe i trwałe.

Pracę tę, Sainte-Beuve bez przerwy dokonywał przez lat ośm, z widocznym postępem. Postęp u niego był ciągły, ale powolny, taki jak bywa rozwój każdego wyższego życia. Potrzebował czasu, żeby dojść do zupełnego posiadania swojego talentu. Jednak, z wytężeniem szedł do celu, a jak sumiennie pracował! Ze wszystkich literatów paryzkich, jeden Sainte-Beuve nie poświęcił wyzyskiwaniu przemysłowemu, nie nie dał modzie, nie hołdował skażeniu dobrego smaku. Do końca pozostał wier-



nym pracy, skrupułom artystycznym, poszanowaniu własnego talentu. Dla potomności pozostał wzorem literata.

Sainte-Beuve zostawił czterdzieści tomów krytyki literackiej, i w tém ogromnem dziele ani raz się nie powtórzył: zawsze miał coś do powiedzenia i zawsze dobrze opowiada, ciekawy, rozsądny, więcej sceptyk niż obojętny, bez cienia szarlatanizmu, krytyk akademicki miał w sobie magnes i światło. Zarzucano mu, iż był niesprawiedliwym. Nam on się wydaje najsprawiedliwszym z tutejszych krytyków. Miał swoje namiętności zapewne, ale namiętność, toż człowiek, toż to wyraz jego moralnej natury. Wstręt u Sainte-Beuve, był najczęściej buntem jego dobrego smaku i uczciwości literackiej przeciw niesumiennym miernościom, roszczeniom wielkim i szarlataneryi. Sainte-Beuve pragnął być sprawiedliwym. Czuł, że każdy sąd jest częstkowy i tymczasowy, że jedyny sposób doskonalenia go, prostować, dopełniać, powracać do wyroku dwa i trzy razy; mawiał, że każdy człowiek ma swoją prawą i lewą stronę, że trzeba pokazać obie. Ztąd poszło, że robił kilka portretów jednej osoby, ztąd poprawki, noty, przeczenie obok twierdzenia. Na sąd Sainte-Beuve, najmniej niezawodnie wpływały względy obce literaturze.

Pozegnaliśmy tę jasną intelligencyą. Wszystko co tu myśli i znaczy, odprowadzało trumnę na omentarz Montparnasse. *Dwanaście tysięcy* ludzi szło za karawanem. Skon akademika senatora byłby mniej smutny, gdyby nie przeczucie, że to zarazem skon ery literackiej, gdyby nie myśl, że dobry smak zniknie ze swymi ostatnimi reprezentantami, gdyby nie przeczucie, że monarchije literackie przechodzą jak inne, ustępując miejsca powszechnej mierności. Pod koniec życia, sam Sainte-Beuve czuł się wynarodowiony wśród nowych pragnień i nowych dążeń. Cóż dziwnego, że przy jego zwłokach smutek był wielki w prawowiernej literackiej rodzinie, że pomyślała, iż wszystko umiera, kiedy wszystko tylko się przeobraża.

Paryż żywo się zajmuje sprawą irlandzką, która teraz tak potężne miewa w Londynie manifestacye. Rzec można, że po burzliwych obrotach polityki miejscowej, ta sprawa najwięcej Francuzów teraz obchodzi.

Cała Europa przyklasnęła aktowi parlamentu znoszącemu kościół Anglikański w Irlandyi; atoli powszechność nie dość zrozumiała śmiałość tego rozporządzenia. Anglia, kraj uważany za arcy zachowawczy, i który nim jest rzeczywiście, jeżeli przez ten wyraz mamy rozumieć staranie, z jakim reformami zaburzenia rewolucyjne zażegnuje; Anglia, gdzie prawo własności świętsze niż gdzie bądź, gdzie poszanowanie rozporządzeń testamentowych, fundacyi i praw nabytych, posunięte aż do przesądu: Anglia sięga po dobra korporacyi uznanęj i silnej, zapoznaje przywileje zaprowadzone wiekami: rozważna Anglia pełna świętego wstrętu do poli-

tycznych abstrakcyj, pierwsza w Europie zrywa węzeł łączący kościół z państwem, i tym sposobem urzeczywistnia najpostępowszy program polityczny.

Żeby tak działać, Anglia musiała mieć nader ważne powody i miała. Ale te powody stwierdzają cechę polityki angielskiej właśnie w chwili, kiedy ta niby najgwałtowniej sobie przeczy. Anglia zniosła kościół swój w Irlandyi, gdyż widziała w tém sposób uspokojenia Irlandyi, gdyż w obec bardzo ważnego interesu polityczno-społecznego, zwykle nakazuje milezenie mniej ważnym interesom. Kościół anglikański w Irlandyi, skasowała nie przez posłuszeństwo wyobrażeniom powszechnym, ale pomimo rządzących nią zwykle zasad. Czyniąc ten krok, Anglia została wierną jedynej zasadzie absolutnej jaką ma, a tą jest, czynić ustępstwo z zasad dla potrzeb rządu.

Jakaż była potrzeba rządowa w tym razie? Należało dać zadość uczynienie Irlandczykom, a mówiąc dokładniej, odjąć im urazę. Irlandya, chociaż od lat siedmdziesięciu wchodząca w skład połączonego królestwa, nie mniej przeto pozostała krajem podbitym. Gdzie indziej podbój nie daje się już czuć, bo różnice szczepów się zatarły; ale w Irlandyi pierwotny mieszkaniec nie połączył się z rasą podbójczą, właściciel gruntu pozostał dlań nie tylko bogatym, ale obcym i uzurpatorem.

Pojąc łatwo ile uczucie takie, musiała jątrzyć obecność kościoła urzędowego, należącego do obrzędu mniejszości, kiedy obok tego trzeba było utrzymywać swój kościół.

Zniesiono więc ten kościół, ale jego zniesienie nie rozwiązuje kwestyi irlandzkiej. Dno tej kwestyi wskazujemy. Stoją tam w obec siebie dwa szczepy, z których jeden jest właścicielem, a drugi uważa się za wydziedziczony. Chodzi o to, żeby wiedzieć do kogo należy grunt? Chłop, który uprawia go od wieków, wyobraża sobie że ma doń prawo. Nie posuwając się aż do zaprzeczenia tytułu właścicielowi i odmówienia mu opłaty czynszu, nie pozwala posiadaczowi rządzić dowolnie, skupiać lub rozdrabniać pole, zmieniać uprawę, lub odprawiać dzierżawców. Dzierżawca irlandzki wyemigruje do Ameryki jeżeli trzeba, ale w Irlandyi on nie wyrobnik szukający najkorzystniejszego zarobku: to rolnik dobrowolnie przywiązany do gleby, niechęący się z nią rozłączyć, uważający za prawo zwyczaj ziemi z której opłaca. W razie potrzeby, broni tych przywilejów gwałtem.

Z tego widać jak mało rozwiązanie problemu duchownego, posuwa rozwiązanie kwestyi zasadniczej. Chodzi tam o prawa własności; walczą z sobą interesa pana gruntu, który chce robić co mu się podoba, i interesa dzierżawcy, który skutkiem tradycyi, zwyczaju, przesądu, pretenduje do części własności w kształcie *wieczystej dzierżawy*.

Jak z tego wyjść? Pytanie żywotnie dziś zajmujące całą Anglią i Francją. Zniesienie kościoła dało otuchę irlandzkiemu chłopu: pierwsze ustępstwo wydaje mu się zakładem innych.



Jezeli—mówi—Anglia przestraszona *fenianizmem*, rzekła się praw odwiecznych, czemużby od niej nie można było więcej wytargować? Czy ją jeszcze straszyć mamy? Nic łatwiejszego! I tak myśląc, Irlandczyk morduje właściciela lub jego agenta.

Faktem jest, że nigdy gwałty nie były liczniejsze w Irlandyi jak teraz. Pełno zbrodni zuchwałych, bezkarnych. Jednocześnie, propozycje kompromisów się mnożą. Anglicy osuwają się z myślą ofiarowania właścicielom irlandzkim, odkupu części ich przywilejów. Przyszła sesja parlamentu pewno uchwali coś w tym przedmiocie. Gladstone honorem ręczy, że nie zaniecha przedsięwziętego dzieła. Oczy Zachodu zwrócone ku wielkiemu zadaniu. Wszyscy czytają chciwie publikacje rzucające światło na stan Irlandyi i charakter jej ludności. Jedni gromadzą fakta w grube tomy, inni w broszurach dają projekta reform ekonomicznych lub politycznych. Niektóre dzienniki paryżkie wysłały na miejsce swoich agentów, dla naocznego zbadania rzeczy. Wszyscy mówią, że nędza w Irlandyi, zuchwalstwo z jakim mnożą się tam zbrodnie, niemoc praw w doświadczeniu zbrodniarzy—są na Wielkiej Brytanii plamą, z której koniecznie obmyć się powinna.

Z mnogich publikacyj jakie tu w ciągu ostatnich kilku miesięcy pojawiły się o Irlandyi, najwięcej zajął publiczność tom wydany w Londynie pod tytułem: „*Realities of Irish Life*” (Rzeczywistości z życia irlandzkiego) przez pana Stenart Trench. Niebawem przełożony na francuskie, zapewnił nieumiejącym po angielsku brak zajmującej poważnie książki nowej francuskiej. Autor spędziwszy życie na zarządzie ziemi kilku wielkich właścicieli irlandzkich, nabył dokładnej znajomości kraju, i poczytał sobie za obowiązek wykazać faktami z jakim ludem Anglia ma do czynienia. Jestto *pamiętnik* człowieka czynu, zdaje się stworzonego do trudnego zawodu, jakiemu się poświęcił. Trench jest sprawiedliwy, odważny, nawet przywiązany do ludu z którym jednak w ciągłej pozostawał walce. Wielki dowód wyższości nie rozpaczając o narodzie, którego się zna wszystkie przywary.

Książka Trencha niema cechy politycznej: autor nie podaje żadnego planu pacyfikacji; poprzestaje na opowiedzeniu tego co widział, co *przeżył*. Opowiadania jego są tak wierne, tak nowe rzucają światło na charakter irlandzki, tak są dramatyczne, że się to czyta jak nadzwyczaj zajmujący romans.

Pan Trench musi mieć dzisiaj około lat pięćdziesięciu sześciu. Pochodzi z możnej rodziny: ojciec jego był bratem lorda Ashtowa i miał znaczny majątek. Ale Trench będąc synem młodszym, musiał wybierać sobie stan. Opowiadanie zaczyna od swoich czasów szkolnych. Z pensyi, Trench poszedł na uniwersytet do Dublina, a po skończonych naukach obrał zawód trudny, ale wiele przynoszący, rządzący dobr.

W kraju jak Irlandya, gdzie właściciele w dobrach nie mieszkają, a z rozdrobnionej ziemi trudno wybierać dochody, każdy wielki pan ma zaufanego rządco. Zowią takiego człowieka: agentem. Wszędzie musi on być uczciwy, czynny i bystry; w Irlandyi musi nadto mieć zimną krew, nadzwyczajną energię i odwagę, potrzebną do narażania się na największe niebezpieczeństwa. Wszystkie te zalety, Trench posiada w wysokim stopniu. Występuje to z jego *pamiętnika*, którego głównym powabem dzielność autora.

Ożeniony młodo, osiadł z żoną w hrabstwie Tipperary, najburzliwszém w Irlandyi. Towarzystwa tajne spiskowały tam na wysegi. Nie jeden rządcą padł pod nożami morderców... Do stołu nawet siadano z nabitymi pistoletami. Niemożność pojmowania winnych w kraju, gdzie nikt świadcząc nie chciał, roz-zuchwalała złoczyńców. Jeden jednak został pojmany i stracony. Groza przywróciła na chwilę spokój okolicy.

Taka była szkoła w której Trench sposobił się do przyszłego urzędu.

W r. 1843 został agentem pana Shirley, bogacza który był właścicielem połowy baronii Tarney w hrabstwie Monaghan. Dochodu miał 20,000 funtów szterlingów (milion złotych), ale ziemia była rozdrobniona, ztąd mnóstwo dzierżawców nie płacących.

Tu dotykamy jednej z największych trudności kwestyi irlandzkiej. Dzierżawcy mają dużo dzieci, a kiedy które idzie na swoje gospodarstwo, ojciec mu odstępuje część zadzierżawionego gruntu: tyle żeby miał na czem zbudować nędzną lepiankę i zasadzić zagon kartofli.

Właściciele długo nie zważali na niedogodności takiego rozdrabniania gruntów, zbyt długo; w końcu obszerne włości rozkruszyły się pomiędzy rój mieszkańców ubogich, niezdolnych płacić należitości, która częstokroć nie przechodziła dziesięciu franków. Nie płacąc, rościli atoli prawo do zajmowania swojego miejsca. To uczucie, jak powiedzieliśmy, miesza się tam z nie-nawiścią do właściciela, jako intruza a w dodatku heretyka. Płacący dzierżawca zawsze protestuje, zawsze mu się zdaje że płaci zbyt wiele, bo myśli że niesprawiedliwie. Dlatego chętnie unika płacenia, często kilka lat winien, a kiedy w końcu pan go wypędzi, zdaje mu się że padł ofiarą niesprawiedliwości i mści się morderstwem.

Przybywszy do dóbr pana Shirley, Trench ledwie nie został rozszarpany przez dzierżawców rozwścieklonych na dziedzica. Poprzedni rządcą nie był popularny: chłopci zwali go tyranem. Skoro umarł, zapalono weselne ognie na wzgórzach. Zawiadomieni o przybyciu nowego rządcy, zgromadzili się tłumnie celem żądania od dziedzica zmniejszenia należitości. Nagle zaskoczony Trench odłożył sprawę do poniedziałku. W ów poniedziałek przeszło dziesięć tysięcy ludzi stanęło przed domem rządcy.



Trenchowi polecono, żeby oznajmił dzierzawcom, iż dziedzic na ich żądanie nie przystaje. Skoro wyszedł, tłum kazał mu wejść na krzesło żeby lepiej słyszano co powie. Mowa jego była łagodna i zgodna; ale zaledwie wiesniacy znaczenie jej zrozumieli, ozwał się mruk niby stu rozjuszonych niedźwiedzi. Wtém, głos powstał w tłumie: „Na kolana dzieci! na kolana! jeszcze raz poprosimy go na klęczkach!” A taka tam powaga patryarchów, że wnet cały ten tłum posłuszny starcowi, padł na kolana, wyciągając ręce do zdumionego, rozczulonego i przejętego zgrozą rządzczy.

Zeskoczył z krzesła i pobiegł ku nim błagając, żeby powstali, a potem usiłował przecisnąć się do domu... Ale go obokczyli klęczący, chwyтали za szaty i jeszcze błagali. Skoro pozostał niezmienny, baranki na raz przedzierzgnęły się w wilków. Szarpiąc, bijąc i łącząc straszliwie, pędzili go do pałacu, gdzie mieszkał dziedzic. Suknie wnet opadły z niego, podarte na szmaty. Najlepsi w tém zebraniu poczuwszy mord, odeszli. Przybyło kilku policyantów, ale niczem była ich pomoc w obec takiego tłumu. Nieszczęsny Trench mniemał, że wybiła jego ostatnia godzina...

...„Byłem—powiada—w ręku najgwałtowniejszych; otrzymałem tyle razów, że mi się czuło wyczerpany, a czułem że jeżeli padnę, będę zdeptany. Zazałałem więc żeby się zatrzymano trochę, bo chcę odetchnąć. Nie zapomnę nigdy téj chwili. Byłem o jakie pół mili od miasta, na drodze wiodącej do pałacu. Obejrzałem się w koło, szukając czy nie spotkam jakiej przyjaznej osoby, która moim opowie jak umarłem. Ale próżno szukałem. Wzgórza pokrywała czerń ludu; droga jak mrowisko się roili; w około mnie sami wściekli ludzie spragnieni krwi mojej.

„Widząc iż daremnie usiłowałem rozczulić moich prześladowców, ruszyłem dalej z nimi w drogę, zdecydowany stawić się hardo aż do końca, gdyż najmniejsze osłabnięcie byłoby moją śmiercią. W téj chwili uczułem przy sobie kogoś co mnie wspiera i szepee mi do ucha: „Łakną krwi twojej, ale bądź odważny, pierwój moją wypijaj.” Ten co tak mówił, uchwycił mnie za ramię i podpierał idąc obok. Tłum, ujrawszy to, wnet nas rozdzielił i zbił straszliwie mojego nieznanego przyjaciela... Znowu sam pozostałem. Szedłem z gołą głową, obnażony do pasa... ledwie się wlokłem... czułem że padnę. Zatrzymałem się więc znowu i kazałem się zaprowadzić do żywo-plotu przy drodze; tam, oparłszy się plecami, patrząc oko w oko tym, co mnie mordować mieli, rzekłem: „Nie mogę iść dalej. Pociście mnie tu przywieźdli? Czego chcecie odemnie?”

— Chcemy pomniejszenia czynszu!—krzyknęli—czy przyrzekasz otrzymać to dla nas?

Są chwile niebezpieczeństwa, w których w jednej sekundzie całe położenie staje człowiekowi w oczach. Trench był w takiej chwili. Poczuwszy się sam jeden pośród dziesięciu tysięcy wrogów pragnących go rozszarpać, zrobił ostatnie wysilenie. Mając nadzieję

że ta zgraja może wyrazić żądanie, któremu będzie mógł zadość uczynić, rzekł spokojnie:

— Jakiego pomniejszenia żądacie?

— Połowę tego, co zwykle płacimy.

— Jeżeli tak, to niema co gadać. Tego nigdy wam nie przyrzeknę.

Jak nie uwielbiać człowieka, który nawet niewinném kłamstwem nie chce sobie ocalić życia. Nastąpiło głębokie milczenie. Żelazny Anglik stał przed nimi nagi i bezbronny, oni mieli w ręku pałki potężne. Irlandya patrzyła Anglii oko w oko....i... zachwiała się. Jedna potężna indywidualność, złamała dziesięć tysięcy rozjuszonej czerni. Nikt nie śmiał zadać pierwszego razu. Trench poczuwszy że przy nim wygrana, od razu doznał się przybytek: krew mu do serca i skroni przyłączyła. Milczenie trwało. Wtém, głos jakiś zawołał: „Dzieci, rozstąpcie się. Niech mu nikt krzywdy nie robi, to człowiek sprawiedliwy!”

I wnet go otoczyły inne twarze; poskoczyli ku niemu ludzie, porwali na barki, dali napić się wody i do pałacu niesli napół omdlałego. Tu znowu nowi przyjaciele kazali Trenchowi wejść na krzesło, i przemówić do ludu przed pałacem. Uczynił jak chcieli. Powiedział słuchaczom, że ich nigdy nie skrzywdził; że takie obejście z obcym człowiekiem to podłość, do której nigdy nie przypuszczał zdolnymi Irlandczyków... Słowem, czynił im surowe wyrzuty. Znieśli je bez szemrania, a przekonawszy się, że pana Shirley nie ma w domu, rozeszli się spokojnie.

Wieczorem zawieziono Trencha do miasta, pokrytego ranami i sińcami. „Jadąc, powiada, rozmyślałem nad szkaradą stosunków Anglii z Irlandją.”

Dzielny ten człowiek, przypominający bohaterstwo Anglików w wojnie z Sypojami, któreśmy w swoim czasie na tém miejscu opisywali, nie znienawidził wcale tej ludności po takim przejściu. Przeciwnie: usiłował ująć dzierżawców łagodnością i rozsądkiem. Odwiedzał ich pojedynczo, czekał obfitych żniw do ściągnięcia czynszu, który wtedy zapłacić mogli. Tą drogą zaszedł dalej niż się spodziewał. Ale nie mógł się zgodzić z dziełcem w szczegółach administracyi, i po dwóch latach opuścił włości w których na tak straszne narażony był niebezpieczeństwo. Nowe czekały go nieszczęścia; zostawszy sam właścicielem, ujrzał owoc swej pracy porwany przez plagę 1846 roku.

Wiadomo, że większa część Irlandyi leży odłogiem, zarosła wrzosem, pokryta pokładami torfu. Trench nabył i wykarczował znaczną przestrzeń takiej ziemi. Zbiór kartofli w tém miejscu znaczny się obficie, właściciel myślał że one same opłacą koszt wykarczowania. Sąsiedzi zwali dolinę *Szczęśliwą*. Ale wszystkie nadzieje spęłzły na niczém. Kartofle zachorowały na słabość nową, nie uleczoną, a która była straszną plagą w Irlandyi, gdzie lud kartoflami żyje.



Mienie Trencha przepadło. Ale straty pieniężne wnet zapomniął, w obec klęsk jakich kraj padł ofiarą. Następstwem choroby kartofli był głód, którego nie zaznała Europa od czasu ułatwienia transportów. Daremnie wysilało się miłosierdzie prywatne i publiczne; daremnie rząd dostarczał roboty zgłodniałym, i dawał im pieniądze; daremnie bogaci osobiście nieśli wszelkie pomoce. Na nic się to nie zdało. Była pomoc, ale nie uorganizowana: nie wszędzie dochodziło pożywienie, ludzie marli pokostem w chatach i na drodze. Taka była śmiertelność, że nie mogąc mieć oddzielnych trumien, wkładani byli w jedną skrzynię, której dno ruchome, przepuszczało trupów do wspólnego dołu.

Przeszło dwieście tysięcy wymarło z głodu. Trzy miliony Irlandczyków emigrowało do Ameryki.

Nie ma złego coby na dobre nie wyszło. Zmniejszenie ludności stało się dobrodziejstwem dla kraju, gdzie rodziny się mnożą bez względu na sposoby utrzymania. Głód dał powód do kilku rozporządzeń pożytecznych, on przyspieszył wolność handlu, a ta spowodowała upoważnienie do zaskłaniania dóbr zadłużonych, co dało pochop do prac publicznych. Trench twierdzi, że plaga 1846 spowodowała gruntowne i zbawienne przeobrazenie Irlandyi.

W 1850 roku Trench został agentem margrabiego Lansdowne, w hrabstwie Kerry. Głód wtedy już minął, ale zostawił po sobie wielką, pozornie nieuleczoną nędzę. Lordowskie dobra okropnie były zaniedbane. Nic nie uczyniono celem zapobieżenia rozdrobnianiu gruntów. Chłopcy i dziewczki łączyli się w siedemnastu leciech, nie mając innego mienia jak lepianka i ogródek z kartoflami. Ztąd massa ludności bez sposobu do życia. Z początkiem wiosny sadzili sobie kartofle; poczem zabijali ćwiekami drzwi chaty, i z żonami i dziećmi szli zebrać w sąsiednich hrabstwach. Zebrany chlebem, utrzymywali rodzinę aż do chwili kopania kartofli.

Całe ogromne dobra były tedy w rękę żebraków, śmiertelność przerzedziła tę ludność. Dla tych co pozostali, trzeba było urządzać domy robocze i żywić ich: okropny ciężar, który spadał na właściciela.

Wtędyto Trench wygotował projekt, mający zarazem ocalić mieszkańców i oczyścić ziemię lorda. Ofiarował wszystkim rolnikom bez chleba, przewóz do Ameryki. Płacił im podróż, pewną kwotę na oporządzenie i nieco grosza na pierwsze potrzeby w Ameryce. Wyprawa ta z wielką radością przyjęta, kosztowała przeszło 350,000 franków. Jałmużna na miejscu, byłaby daleko więcej wyniosła w ciągu jednego roku.

W ciągu kilku miesięcy cztery tysiące ubogich wyjechało. W domu roboczym zostało tylko sześćdziesięciu, a na gruncie sami mogący płacić czynszownicy. Dzierżawcy których pola zarosło wrzosem, mogły jedynie żywić pszczoły, ci których czynsz wynosił często pięć szylingów, znikli z włości lorda. Dobra

Lansdowna są teraz wzorowe w Irlandyi. Przynoszą 11,000 funtów. Ulepszenie ich wraz z kosztami emigracyi, kosztowało 1,359,000 franków.

Z hrabstwa Kerry, Trench przeniósł się do hrabstwa Monaghan i objął tam zarząd dóbr margrabinys Bath. Widocznie daném mu było, walczyć ciągle z przeciwnościami i niebezpieczeństwami. Tu, czynszownicy winni byli 30,000 funtów zaległego czynszu. Odebranie tej summy, było głównem zadaniem rządu. Zaczął i tu od wysłania najbiedniejszych do Ameryki. Pozostający zapłacili, wyjąwszy kilku którzy ani płacić, ani jechać nie chcieli. Byli to ludzie gwałtowni, którzy za najwygodniejsze dla siebie uznali nie płacić dzierżawy i odstraszać poborców. Nikt nie śmiał do nich przystąpić.

Najgorszy z tych buntowników był niejaki Joe-Mac-Key. Trench pokonał go nareszcie zimną krwią i odwagą. Historia tej walki, stanowi jeden z najdramatyczniejszych rozdziałów książki.

Joe trzymał rozległą dzierżawę w dzikiej, górzystej okolicy. Od lat sześciu ani grosza nie zapłacił. Nikt go nie śmiał aresztować, a sądowe wyroki pozostały bez skutku. Joe uchodził za człowieka nadzwyczajnej odwagi i nadzwyczajnego zuchwalstwa; powtarzał, że w całej Irlandyi nie ma takiego, któryby go wsadził do więzienia. Człowiek ten stał się hersztem wszystkich zbuntowanych dzierżawców. Należało koniecznie złamać tego wodza. Trench wyrobił na niego mandat aresztu i naznaczył 50 funtów nagrody temu, kto go pojmie. Ale nikt tego podjąć się nie chciał. Ten i ów miał ochotę na tak wielką summę... ale jednak mówił iż życie milsze niż grosz. Joe chodził z nabitym pistoletem i przysiągł, że zastrzeli pierwszego który się zbliży.

Takim był zbój z którym rządcą miał do czynienia. Trzeba go było koniecznie uskromić, dla przykładu. Trench postanowił sam dotrzeć do sławnego Joe, i przekonać się naocznie, czy taki straszny jak go malują.

Ponieważ kraj był wtedy bardzo wzburzony, rządcą wziął z sobą dwa rewolwery i mapę, żeby o drogę nie pytać. Siadł na konia koło południa, i nie mówiąc nikomu gdzie jedzie, pojechał. Joe mieszkał o siedem mil angielskich. Przybywszy na miejsce, znalazł dom napół zrujnowany. Zastukał do drzwi... po chwili człowiek bez surduta wyjrzał oknem i spytał czego chce?

— Chcę wejść—odparł Trench.

— Nie wejdiesz—odrzekł człowiek rezolutnie.

Domysliwszy się że to ów straszny dzierżawca, Trench spytał czy on jest Joe?

— A gdybym nim był, to co?

— Chciałbym z tobą pomówić: wpuść mnie.



— Gadaj ze dworu: wejść nie możesz.

— Wiesz-że kto jestem?

— Nie wiem i wiedzieć nie chcę.

— Jestem Trench, rządcza włości.

— A! przepraszam! — przepraszam, nie wiedziałem kto jesteś i żałuję że cię wpuścić do domu nie mogę.

Skoro on grzeczniej przemówił i rządcza zmienił ton:

— Słyszałem żeś jest odważny i dzielny chłop: sam na sam niczego się nie lękasz. Dlatego przybyłem sam, mam z tobą pomówić, wpuść!

Spojrzał na mnie podejrzliwie... obejrzał się wkoło czy jakiego policyanta nie zoczy... zawahał się wyraźnie... ale powtórzył: nie wpuszczę.

Zgniewało mnie to, i zawołałem: Widzę żeś tchórz! Mówię ci że sam, że nawet nikt nie wie że tu jestem. Boisz się jednego człowieka? To wstyd!

Joe odrzucił zapórę, odemknął drzwi na rozcień i tonem obrażonej dumy rzekł: „Wejdz wasze, kiedy sobie tak mój opór tłumaczysz, wejdz, i bądź pozdrowiony.

Trench oddał konia chłopcu i wszedł do izby ponuręj i nagięj jak wilcza jama. Przy ogniu siedziało dwóch ludzi z iskrzącymi oczyma... widocznie nie byli radzi goście. Obok nich stała młoda niewiasta, bardzo ładna, chociaż uwiędła troską. Żeby im pokazać że nie ma na myśli żadnych gwałtów, Trench siadł tyłem do drabów, a przodem do gospodarza. Żywy ogień płonął na kominie, a promień słońca wbiegł przez wąskie okno, oświecał w pełni Joego. Znaczącą miał fizyonomią. Włos kruczy, gołą szyję, posągowych kształtów; zawinięte rękawy u koszuli odsłaniały ręce podobne do okrętowej liny. Czerwoną chustką przepasany, stał przed gościem nieruchomy z założonemi rękami, patrząc nań pół dzikim a pół szyderskim wzrokiem. Wysoki przeszło sześć stóp, zdawał się herkulesowej siły. Chociaż sam nie ułomek, Trench poczuł że nie może się mierzyć z takim przeciwnikiem... Ale kontemplując to uosobienie potęgi i energii, tę głowę w tył pochyloną z wyzywającym wyrazem, myślał sobie że nigdy wspańalszego chłopca nie widział.

— Masz mi coś powiedzieć—rzekł nagle Joe.

— Mam. Ale kto są ci ludzie i co tu mają do roboty?

— Robimy whisky—odrzekł jeden z nich — może wasza godność skosztuje?

Drabom było widocznie obojętne, że ich rządcza wszedł na nieprawnej fabrykacji wódki. Joe milczał, a kobieta nie spuszczała zeń oka. Zwróciwszy się do gospodarza, Trench zawiązał rozmowę.

— Cóż? panie Mac-Key! Jesteś postrachem okolicy, nikt cię nie śmie aresztować.

Wzdrygnął się konwulsyjnie i rzucił oczyma na okno:

— Dotąd nikt nie śmiał mnie aresztować, odrzekł; ale miałeś mi coś powiedzieć.

— Chciałem cię spytać jak myślisz że się to skończy? Winieneś sześć lat czynszu—nie chcesz płacić i mówisz, że w łeb wypalisz temu, kto cię zechce pojmać.

Joe poszedł do wiszącego na ścianie odzienia, i pokazał pistolet sterzący z kieszeni.

— Właśnie, rzekł Trench, nie dziwię się że ci się boją.

— Piękne mi zuchy wasi policyjanci i woźni, jeżeli się tego boją!—A wyjąwszy pistolet pokazał, że nie ma lufy.—Tém ich straszę i uciekają...—Kobieta się uśmiechnęła.. i uspokoiło ją to odkrycie.

— Wszystko to dobrze—ciągnął dalej Trench; ale to nie mniej prawda, że ludzi straszysz: nie śmia cię pojmać.

— A dlaczegożtoby innie pojmać miano? Dlaczego wyzuć z tego domu? Sam go zbudowałem, zasadziłem ogród, a teraz chcecie mnie wyrzucić... Pierwój skonam!

Tak mu guiew gardło ścisnął, że ledwie dychał...—Uspokój się Joe, prosiła niewiasta, pan ci nie chce zabrać domu, nikt ci go wzięść nie chce..

Mac-Key się pohamował.—Chcesz pan wejść do alkierza, tam sam na sam pogadamy.

Wprowadził Trencha do odległej izby i drzwi zatrzasnął, a były takie, że się nie odmykały, bo nie było klamki. Na środku stał stolik i dwa krzesła; w kącie łóżko a przy łóżku topór, ostry jak brzytwa, osadzony na długiej rękojeści.. najstraszliwsza broń. Trench siadł pomiędzy toporem a gospodarzem.

— To twoja broń?

— Tak—odrzekł sucho — i wyjąwszy ze stolika *petycyę* do lady Bath, zaczął ją deklamować, mówiąc że to jego dzieło. Były to treny nad niedolą człowieka, który musi opuszczać dzierżawę nie mając jej czem zapłacić.

— To nie wystarczy do zostania tutaj—rzekł wysłuchawszy do końca Anglik;—a robieniem nieprawdém wódki także czynszu nie zbierzesz. Pytam ci się na seryo, co myślisz czynić, bo rzeczy nie mogą tak pozostać jak są.

Zerwał się i stanął po drugiej stronie stołu:—Powiem panu to jedno, że nie ustąpię, nie opuszczę domu zbudowanego własnymi rękami, nie wyjdę z niego żyw!.. Nie wyjdę!

Był wściekły jak tygrys: to na okno, to na topór spozierał... Trench zerwał się także bo mu się zdawało, że Joe porwie za siekierę. Dobyl więc pistolety z kieszeni i trzymał po jednym w każdej ręce, patrząc Irlandczykowi oko w oko. Tylko wązki stół ich przedzielał. Anglik wiedział że jeżeli przeciwnika porwie za bary, nie zmoże go; a pewny że go do tej komory przyprowadził żeby zamordować, postanowił strzelić, jeżeli się ruszy. Irlandczyka w tej chwili szarpało przeciwne podejrzenie: pewny był, iż rządca przyprowadził policyę, że go oszukał, więc był gotów zabić



zdrajcę. Byli więc jak dwa lwy czekające wzajemnie na pierwszy skok. Mocowali się oczyma.. ani jeden ani drugi nie zamykał wzroku. Położenie to trwało z pół minuty. Anglik powoli podniósł pistolet na wysokość głowy przeciwnika, tak że mógł patrzeć w lufę... Joe nie uląkł się, ale przeciwnie, wyprostował się spokojnie i skrzyżował ręce na piersiach dla pokazania, że napastować nie chce, stał, jakby wyzywając do strzału. W tej chwili Trench poznał że posądzał niesłusznie, ale idąc za popędem z którego sobie sprawy zdać nie umiał, rzucił pistolet na stół przed niego, wołając: — Nędzniku! wiedziałem że się nie ośmielisz mnie tknąć!

Joe popatrzył na Trench'a, padł na krzesło jak człowiek złamany, a odwróciwszy oczy od nabitego pistoletu, wyszeptał jakby umierającym głosem:

— Cóż chcesz zebym czynił?

— Chcę zebyś mi oddał dom—grunt—i szedł ze mną do miasta..

— Uczynię jak zechcesz.. odrzekł pocichu; otworzywszy drzwi krzyknął gromkim głosem na ludzi: Hej! idźcie precz!! oddaję dom!

Walka i wygrana czysto-moralna. Ktoby nie wierzył w istnienie duszy, dotknie jęj w tém starciu dwóch sił...

.....,Tak na igrzysku, kiedy lwów dozorca,  
Sprosiwszy pany, damy i rycerze  
Rozłamie kratę żelaznego dworca,  
Da hasło trąbą; wtém królewskie zwierzę  
Grzmi z głębi piersi, strach na widzów pada.  
Jeden dozorca kroku nie poruszy,  
Spokojnie ręce na piersiach zakłada,  
I lwa potężnie uderzy—oczyma.  
Tym nieśmiertelnój talizmanem duszy,  
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma."

Dalszy ciąg tej historyi smutny. Pomimo znacznego wyposażenia jakie mu dał Trench, Joe nie popłynął do Ameryki. Pastor uwiadomił że chory w domu leży, odgrazając się że musi zabić rządzącę. Trench pojechał do niego, ale zastał już tylko trupa... Leżał na łożu z zastygłym wyrazem nieugiętej dumy. Kobieta szlochała obok niego. Umarł na trawiącą gorączkę dla tego, że ludzie gadali że go wzięto gwałtem, kiedy on się dobrowolnie poddał. „Ach! panie!! Ty wiesz najlepiej że sam się poddał—wołała zanosząc się od płaczu kobieta—nie znałeś go! on miał serce czułe jak dziecko. Ludzie go zabili wmawiając w niego, że to jego ziemia, nie właściciela, że trzeba Anglików mordować... Ach! on miał wielkie serce chociaż szaloną głowę, sam ci się poddał: ty wiesz najlepiej czyby go kto mógł wziąć, gdyby on nie chciał."

Pochowano Mac-Key'a jak kazał, w jego ogrodzie, a jego pocziwa towarzyszka opuściła kraj.

Przykład był stanowczy. Ustał opór dzierżawców i bunt na chwilę był złamany, ale na chwilę tylko, bo Irlandczyk poddaje się przemocy, ale wnet szuka odwetu.

Opowiemy jeszcze spisek uknuty na życie Trencha, co poznałomi czytelnika z tajnem towarzystwem irlandzkim *Ribbonistów*.

---

*Ribbonizm*, od wyrazu angielskiego *ribbon* (wstążka) tak się nazywa z powodu zielonych wstążek, które są godłem wódzów stowarzyszenia. Celem jego obrona praw do ziemi, w której skupiona cała wiara polityczna irlandzkiego chłopca. Członkowie *Bractwa Wstążki* mieli nie dozwalać właścicielom odprawiać dzierżawców. Powoli program się rozszerzył: członkowie Towarzystwa uznali się *mścicielami* wszystkich krzywd rzeczywistych czy urojonych, a powiązanych z własnością. Dzierżawca był zagrożony nożem, dlatego, że nie chciał użyć gnuśnego oracza, albo że niechciał przyjąć owczarza poleconego przez *Ribbonistów*. Kodeks *Ribbonistów* znał tylko jedną karę: śmierć—to jest morderstwo. Oskarżonego uwiadomiano listem bezimiennym; czasem publicznym afiszem: że jeżeli nie ustąpi, będzie ściągany noc i dzień, a kiedy się tego najmniej spodziewa, padnie trupem. Nie mało ofiar tak poległo: najwięksi panowie i najuboższe chłopcy. Dziś jeszcze, kiedy to piszemy, te mordy zakrwawiają Irlandyę. Jestto plaga tego kraju: ona wygnała właścicieli i odwróciła kapitały od ulepszenia gruntu.

Kiedy Trench był rządcą margrabiny Bath, *ribbonizm* kwitnął w Irlandyi. Poddanie i skon Mac-Key'a zniechęciły chwilowo członków, ale wnet odzyskali odwagę i postanowili, że trzeba koniecznie pozbyć się człowieka tak czynnego i energicznego jak nowy rządcą. Trench został potajemnie osądzony i skazany; wybrano zabójców i zebrano kwotę przeznaczoną w nagrodę morderstwa. Chodziło już tylko o wykonanie wyroku.

Jeden ze zbójców później schwytanych, dał szczegóły o spisku, który opowiada Trench.

Zwołano najdzielniejszych *ribbonistów*; zeszło się ich szesnastu do sąsiedniego dzierżawcy. Gospodarz przydywał w sali pełnej ławek i stolów; whiskey krawał obficie. Pito czas jakiś w milezeniu, aż kiedy napój zaczął działać, prezes zabrał głos, i spytał, czy kto w tém zgromadzeniu ma co do powiedzenia na obronę winowajcy?

Tu się zaczęła ciekawa scena procedury kryminalnej. Kilku obecnych dla zaspokojenia sumienia, oraz dla zachowania pozorów sprawiedliwości, wymieniło czyny wspaniałomyślne Trencha, a ilekroć wymienili, prezes odpowiadał przekleństwem.

— Dał mi wrota do ogrodu—mówił jeden.

— Bogdajby twoje bydło lby o nie potłukło.

— Dał mi drzewa i słomy na poszycie dachu—mówił drugi.



- Bogdajby się jak najprędzej zwałił!
- Udrenował moje grunta—mówił trzeci.
- Bogdajby ci zgnił cały zbiór!
- Dał mi winą dla chorego dziecka.
- A dziecko umarło! Amen! dodał prezes.

Nastąpiło długie milczenie, po którym prezydujący ogłosił wyrok: „Jest winny! Dzieci moje, powinien umrzeć. Pozostaje tylko ciągnąć na losy, kto będzie wykonawcą wyroku?”

Dwaj ochotnicy podjęli się mordu. Przysięgli, iż będą chodzić trop w trop za Trenchem, śledzić go i ścigać, dopóki nie zabiją.

Ukończywszy tak główną sprawę, ribboniści zaczęli pić i rozprawiać o polityce, o przyszłej wojnie europejskiej z której wyjarzmienie Irlandyi pewno nastąpi. Dzikie krzyki i pieśni, wtórowały biesiadzie spiskowych.

W niedziele, na katolickiej kaplicy, pojawił się afisz z zapowiedzią egzekucyi. Trench nie był wymieniony, ale nie można było wątpić, że o nim mowa. Od tej chwili, rządcza był uważany za zgubionego. Uczciwi mieszkańcy poglądali nań z litością, ale się zbliżyć nie śmieli. Był uważany za umarłego.

W takiej pozycyi rzeczywiście było czego zwaryować. Ale Trench należał do rasy niezłomnych i niezwycięzonych. Zaczął więc od rachunku sumienia. Wejrzawszy w siebie, jako poważny sędzia, wydał sobie świadectwo że nikogo nie skrzywdził, że niema nie do odwołania z tego co uczynił, że to nie wyrok na nikczemnika, ale napaść na sprawiedliwego; zatem, pozostaje tylko w własnej obronie walczyć ze zbrojcami.

Zbiry nie tracąc czasu pokupowali broń i śledzili go pilnie. Trench także nie zależał pola. Nabył dwa rewolwery o sześciu strzałach, i bez nich nigdy nie wychodził. Kiedy był w domu, zawsze je miał pod ręką. Miał prócz tego przy sobie dwie krucice o dwóch strzałach, a kiedy jechał konno, kładł w olstry dwa wielkie pistolety, także dubeltowe. Razem, dwadzieścia pięć strzałów na rozkazy, a strzelał celnie, wiedziano o tém, i jak się później wydało, nieraz zaczajeni widzieli przejeżdżającego, a napaść nie śmieli.

Rok tak upłynął. Dwaj rozbójnicy szukali okazji spełnienia zbrodni, a Trench ani na chwilę nie folgował baczności. Nareszcie rzekli się zbroje zasadzek na gościńcu i zamierzili ugodzić rządcę w chwili kiedy z bióra wychodzi w wieczór. Jeden wtedy miał mu oddać list, a drugi strzelić w piersi.

Cudem ten zamiar doniósł się do Trenchu; odtąd już w mieście nie dał nikomu do siebie przystąpić: jeżeli kto do niego się zbliżał, mierzyl doń z pistoletu i kazał stać o 20 kroków.

Spiskowi zwątpili o wygranej, a raczej oddali za wygraną; oświadczyli wodom że fortuna wyraźnie sprzyja rządcy, więc rzecz zbyteczna dłużej się za nim uganiać. Natomiast, ofiarowali się zabić Bailiffa, Irlandczyka, niemilego ribbonistom.

Na tém stanęło. Ale kiedy mieli zamordować Bailiffa na gościńcu, zostali schwytani skutkiem zdrady jednego ze swoich. Osadzeni w więzieniu, byli straceni. Umierali bardzo odważnie.

Trench otrzymał od rządu irlandzkiego szczególny dowód zaufania. Dostał upoważnienie badania jednego z dwóch morderców, i ulaskawienia go, jeżeli da szczegóły o bractwie Ribbonistów. Za taką cenę sprawiedliwość chciała poznać organizacyą tego straszniego stowarzyszenia tajnego.

Opatrzony upoważnieniem, Trench posłał zaufanego urzędnika do skazanego, mając nadzieję że wygada wszystko. Usłyszawszy o ulaskawieniu, nieszczęśliwy zadrżał... osłabł... nie mógł się utrzymać na nogach, pot płynął mu z czoła. Nakoniec, przyrzekł mówić z Trench'em, po odbytej spowiedzi, nie pierwój. Przybywszy po spowiedzi Trench zastał skazanego zupełnie spokojnym i zrezygnowanym, wszelkie wahanie znikło. Nie był to już ten sam człowiek co w przeddzień: widoczném było, iż ma postanowienie niezłomne. Mówił krótko, urywając: „Nie nie powiem. Gotów jestem umrzeć. Nigdy tak dobrze nie byłem usposobiony. Na nie się nie zda badanie; tym tylko powiem, co mają prawo wiedzieć: księżom. Zostawcie mnie w spokoju! Szczęśliwy jestem, że mogę umrzeć za swój kraj.”

To powiedziawszy, już nie wyrzekł słowa, i uniósł swoją tajemnicę do grobu.

Śmierć tych dwóch Ribbonistów przeraziła innych konspiratorów. Trench korzystając z tego usposobienia, zwoływał do siebie spiskowych, a dowiódłszy że wie wszystko, radził opuścić kraj i obiecał ułatwić wyjazd. Poszli za jego radą i z wdzięcznością przyjęli zbawienie od tego, którego zgubić poprzysięgli. „Już lat dwanaście jak się to działo, pisze Trench. Od owego czasu już nie nosiłem broni, ani żadnej nie przedsiębrałem ostrożności. Mam nadzieję, że już nigdy nie będę się potrzebował uzbrajać przeciw Irlandczykom.”

Nader zajmujący i budujący ton Trench'a, kończy się wymownym pozwem do zgody i sprawiedliwości. Autor odrzuca despotyczne rozszerezenia chłopu celtyckiego. Mniema on, że są winy po obu stronach, ma przekonanie że jest sposób polepszenia doli jednych bez odzierania drugich. „Jakiejbyś rangi i religii jesteśmy wszyscy w Irlandyi, mamy sobie wspólnie wiele do przebaczenia! Bez przebaczenia, na tej ziemi ludzie muszą mieć piekło!”

Piśmiennictwo francuzkie krąży obecnie około kalendarzy i słowników. Wyszedł tom trzeci znaney publikacyi, którą tu Piotr Larousse przedsięwziął pod tytułem „*Grand Dictionnaire du XIX siècle.*” Jestto bardzo pożyteczne dzieło w naszych cza-



sach, kiedy ludzie coraz mniej czasu mają do czytania, a coraz więcej wiedzieć muszą. Można się tam dowiedzieć wszystkiego, i wyrobić sobie pojęcie rzeczy z przytoczonych przez Laroussa sądów rozmaitych.

— W „*Almanach de l'Encyclopédie générale pour 1870*” który właśnie wyszedł z pod prasy, jest znakomity artykuł doktora Broca, przedstawiający stan obecny nauki antropologii.

— Mario Proth wydał tom pod tytułem „*Bonaparte*,” a jako pod-tytuł dopisał: „*Commediante*,” „*Tragediante*,” dwa wyrazy któremi często Pius VII definiował Napoleona Igo. Autor zamierzył uwydatnić tę dwulicowość bohatera. Bierze Bonapartego od kolebki i doprowadza do 19 *brumaire*.

— Professor Dussieux wydał „*Genealogią domu Burbonów*,” książkę arcy-potrzebną do zrozumienia *pamiętników historycznych*, w które obfituje piśmiennictwo francuzkie.

— Pod napisem „*La peine de mort*” deputowany Jules Simon wydał tomik, w którym gwałtownie powstaje przeciwko karze śmierci.

— Olivier'a Ritt „*Histoire de l'Isthme de Souez*” jest we wszystkich rękach.

— Dział literatury pięknej nie może się poszczycić bogatym żniwem. Przybył osobno odbity romans pana About, poprzednio w *Revue des Deux Mondes* drukowany p. n. „*Tellach*.” Armand Juslain wydał tomik p. t. „*Amours de jeunesse*.” Pan Alfred Bréhat napisał: „*L'Amour ou nouveau Monde*.” Emil Augier napisał komedię w pięciu aktach już przyjętą do teatru francuzkiego, pod tytułem: „*Chevalier de Maison-Rouge*.”

— Podczas kiedy piszemy, w teatrze Ambigu-Comique przedstawiają pięcio-aktowy dramat pana Charles Edmund „*Le Dompteur*.” W przyszłej kronice naszej damy sprawozdanie z tej sztuki.

Smutną wiadomość donieść musimy naszym czytelnikom o Zofii Węgierskiej autorce kronik Paryzkich, dotąd w Bibliotece Warszawskiej zamieszczanych.

W Paryżu d. 8 listopada r. b. zakończyła życie Zofia z Kamińskich Węgierska, pochowana na cmentarzu Montmartre d. 11 listopada. Córka ś. p. Ludwika Kamińskiego b. pułkownika b. w. p. i Barbary z Walknowskich. Ojciec jój jako tłumacz znakomite w literaturze naszej zajął miejsce przekładami: Popego Wiersza o człowieku, Tassa Jerozolimy wyzwolonej i Danta komedyi Boskiej dotąd w rękopiśmie pozostałej. Ś. p. Zofia nie była na żadnej pensyi, nie miała nigdy guwernantki ani obcego profesora, ojciec i matka byli wyłącznemi jój nauczycielami. Z takiego do-

owego wychowania wyniosła swoje wyższe wykształcenie, które ją wciągnęło w świat postępu, gdzie się rozwinęła jej myśl i zdolności. Pod przybraném nazwiskiem Bronisławy Kamińskiej, wydawała dziełka: *Legends historyczne* (dwa wydania 1852 i 1863). *Marynka Czarownica* (Warszawa 1852). *Staś i Jadwisia* powiastki dla dzieci (Wrocław 1853). *Nowe wiązanie Helenki* (Wrocław 1853). *Obrazy wieku dziecinnego* (Wrocław 1860). *Nowa podróż czyli obrazy Ameryki, Afryki i Australii* (Berlin 1860). *Podróż malownicza podług Humboldta* (Wrocław 1863). Pożyteczne te książeczki dla młodego pokolenia stanowią niemałą zasługę ś. p. Węgierskiej. Lecz najwięcej zajęcia i rozgłosu zyskała kronika paryżka literacka, naukowa i artystyczna, którą od m. stycznia 1853 r. przysyłała bez przerwy co miesiąc Redakcyi Biblioteki Warszawskiej przez lat szesnaście aż do teraźniejszego zeszytu, w którym jej ostatnia praca jest zamieszczona. Z rzadką wytrwałością i porządkiem, pracując dla Biblioteki przez cały ten przeciąg czasu ani razu nie spóźniła się z nadesłaniem pisma swego i tym sposobem Biblioteka Warszawska zawiera 192 artykułów korespondencyjnych ś. p. Węgierskiej, które w oddzielném wydaniu zapełniłyby 40 przeszło zeszytów czyli około 10 tomów formatu i objętości Biblioteki. W kronikach tych zajmuje ciągle wybór przedmiotów zawsze dla nas nowych, ciekawe przedstawienie, trafne zdania, dowcip świeży, styl konwersacyjny, lekki, wdzięczny, zarazem ton prawdziwie wyższego wychowania, ton pełen zacności, a nadewszystko musi uderzać, musi się podobać ten umysł niepospolity, śmiały, który dzielnie ściga pochod światła dzisiejszej cywilizacji i jej kierunku. Pierwsza Redakcja Biblioteki Warszawskiej za pośrednictwem członka swego ś. p. Leona hr. Żubieńskiego skłoniła ś. p. Węgierską do tego rodzaju pracy tak pożytecznej i pożądanej. Następnie korespondencye swoje jako Kroniki Paryżkie posyłała do innych pism peryodycznych, do Kuryera Wileńskiego, Gazety Polskiej, Bluszczu i innych. Strata tak zdolnego współpracownictwa jest dotkliwą, lecz ze zgonem ś. p. Węgierskiej nie zniknie w Bibliotece ten dział literatury; w krótkim czasie Redakcja postara się o kronikę, która zadowolni czytelników przynosząc myśli, obrazy, nowiny z Paryża, z tego źródła postępu ludzkości, a zarazem z tego Babilonu uciech zmysłowych.

